Nr. 23 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 grudnia 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej, Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czas ochronny zwierzyny, ustalony (Art. 48, 49) Rozp. Prezydenta Rzeczypospol. z dnia 3/XII 1927 o prawie łow. Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934, roszerzony dla niektórych zwierząt łow. Rozp. Ministr. Rol. z dnia 20/X 1931. Dz. Ustaw z dnia 31/X 1931, Nr. 96, poz. 737, **obowiązującem od dnia ogłoszenia do 31 lipca 1934 r.** uwzględniony w kalendarzyku łowieckim, jak poniżej.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■	■15		■	■
Sarny - kozły	■	■	■	■	■15						■	■
Zające - szaraki	■15	■	■	■	■	■	■	■	■	■20		
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	■15		15■	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	■15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	■15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy*	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15■	■	■	■15				
Bataljony						■	■10					
Dzikie kaczory						■	■15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	■15					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15■	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	■15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	■15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

* Dla kuropatw w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem, białostockiem, poleskiem, wołyńskiem, krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem okres od 1 listopada do 31 sierpnia.

W województwach zaś pozostałych okres od 1 grudnia do 31 sierpnia.

Z dniem wejścia w życie niniejszego rozporządzenia tracą moc obowiązującą wszelkie przepisy wydane w przedmiocie rozporządzeniem tem unormowanym.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.



Nr. 23 We Lwowie, 1 grudnia 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Wzywamy Członków M. T. Ł.
do uiszczenia
zaległych i bieżących wkładek!

Z tegorocznego rykowiska w Skolem

W rewirach bar. Groedlów w Skolszczyźnie, padło w bieżącym sezonie rykowiska 19 jeleni. — Odstrzał powyższy jest procentowo nieznaczny wobec obecnego stanu jeleni, w osobnym wykazie uwidocznionego — i jeśli się nie odstrzeli w najbliższych latach co najmniej 100 t. zw. „sznejdrów", zdegenerowanych 14-taków, 12-taków, 10-taków i 8-maków, których obecny wygląd wyklucza, by w przyszłości mogły dobre wieńce osadzić, — stan jeleni jakościowo jeszcze bardziej podupadnie. — Widziałem dwunastaka, którego wieniec był wysoki najwyżej na 60 cm, a waga nie mogła przenosić z czaszką 3 kg a takich gałganów coraz więcej się mnoży.

Jest to następstwem zbyt dużej ilości łań i wycieńczenia młodych byków, które osłabiają się do tego stopnia, że wieńce ich coraz bardziej marnieją.

Dzisiejszy stan przerasta ilościowo stan przedwojenny, co powoduje nietylko ogromne szkody w kulturze, ale znaczne obniżenie się stanu jeleni, pod względem jakościowym.

Z ubitych jeleni wysuwają się na czoło, jako kapitalne:

1) Dziesiątak, strzelony 24/IX. 1931, przez Prof. Dr. Hansa Heyerowskiego, pod Zełeminem, o wadze 11 kg 25 dkg, różach 25,24, grubości 21,20,5 — 19,18 — 22,21, — wysokości 112,109, rozpięciu 106, grubości ocznych 17,16,5.

2) Dziesiątak strzelony 27/IX przez ks. Hohenlohego w Libochorze, o wadze 8,50 kg.

3) Czternastak, strzelony przez dyr. fabr. Heinricha, o wadze 7 kg 80 dkg (Kruszelnica).

4) Czternastak, strzelony w Libochorze, (Turczanka) przez Dra Rogistera, o wadze 7,80 kg.

5) Dwudwudziestak, strzelony przez Sewery- na br. Brunickiego w Tuchli, o wadze 7 kg 60 dkg, pra- wa odnoga 8 końców, lewa 11 końców (24/IX).

6) Szesnastak, strzelony przez wicemin. Maur. Jaroszyńskiego, w Skolem (Zełemin), o wadze 7 kg 30 dkg (róże po 22 cm, grubość po 16 cm (24/IX).

7) Czternastak, strzelony przez br. Königswar- tera w Butywli, Jabłonka, o wadze 6 kg 90 dkg, — szesnastak o wadze 5 kg 80 dkg (24 i 27/IX).

8) Dwunastak, strzelony przez p. Hollitzera, wagi 6 kg (24/IX) Tuchla.

Ponadto padło 6 dziesiątaków i jeden 8-mak, o wa- dze poniżej 4 kg, 3 dwunastaki, o wadze od 4 kg do 5 kg 20 dkg.

Dnia 23/IX spadł śnieg, poziom jego na wirchach wy- nosił od 30 cm do 50 cm. W dniach 28 i 29 była śnie- życa.

Wskutek przymrozków utworzyła się wierzchem trzeszcząca warstwa, która utrudniała pochód. Śnieg trzymał do 2/X. Ilość jeleni ryczących, w przybliżeniu, wedle raportów, sięgała do 300 sztuk.

Wykaz jeleni i łań z cielętami, które na zrębach po- liczono:

	Jeleni	Łań	Cieląt
Skole	41	220	76
Hrebenów	52	125 ?	41
Tuchla	40	90 ?	25
Różanka	17	53	7
Oporzec	3	8	5
Hutar	62	158 ?	72
Butywla	115	177 ?	64
Kruszelnica	105	172 ?	72
	435	1003	362

Najprawdopodobniejszy obraz stanu jeleni daje cy- frowo tylko Skole, Rożanka i Oporzec.

W innych rewirach trzebaby procentowo conajmniej pięciokrotnie stan łań podnieść, by dojść do możliwie prawdopodobnych cyfr.

Rewiry jak Hrebenów, Tuchla, Huta, Butywla, Kru- szelnica mają mało zrębów, na których łanie policzono, natomiast brak cyfr z kultur, starych drzewostanów, wśród których przeważnie rykowisko się odbywało, a gdzie kontrola i cyfrowe ustalenie nie dadzą się prze- prowadzić.

W przybliżeniu stan łań przewyższa 2500 sztuk — jeleni dochodzi do 600 sztuk. — Że do rachunku z otwartych miejsc i zrębów żadnej wagi przywiązywać nie można — wykazuje także mylna proporcja ilości cieląt do łań, z wyjątkiem Skolego, Tuchli, Rożanki i Oporca.

Przyjmując cyfrę 3.500 sztuk, (wedle mego zdania jest ona jeszcze za skromną) zbliżymy się mniejwięcej do prawdopodobnej cyfry stanu obecnego jeleni. — Na 100 ha wypada przeciętnie 10 do 12 sztuk.

St. W. Orski
del. na pow. Skole

W krainie ciszy

Polowanie na dalekiej Północy, jest niepodobne do niczego, cośmy przywykli określać tem mianem pod każdą inną szerokością geograficzną. Ma jednak swój wdzięk specjalny i pamiętnik myśliwego Mr. Lavallin Puxley, który spędził gdzieś pod biegunem północnym kilka miesięcy krótkiego, tamtejszego lata, — jest bar- dzo zajmujący.

Ciekawe są szczególnie liczne wysepki, położone na wschód od Szpicbergu, z których większość nie została nigdy zbadana. Jakaś ekspedycja zwiedziła jedynie kil- ka z nich, między innemi tak zwaną „Edge Island" i „Ląd Północno-Wschodni".

Komunikacja między temi wyspami może odbywać się jedynie za pomocą małych łódek, używanych do po- łowu fok, a przemykających się lekko pomiędzy lodo- wemi krami — co nawet latem nie jest ani łatwe ani bezpieczne.

Można się orjentować wśród wąskich przesmyków, a raczej korytarzy, pomiędzy wysokiemi lodowemi gó- rami, dzięki oryginalnemu zjawisku, odpowiadającemu mirażom na pustyni. Wszędzie, gdzie morze jest wolne od pokrywającej je powłoki, światło załamując się na jego powierzchni, tworzy refleks, unoszący się w powie- trzu w postaci jakiegoś dziwnego białego blasku. Wy- gląda to zdaleka jak deseń, czy sieć wijących się skrę- tów świetlanych, wzdłuż których kierować trzeba łódź, zdążając w obranym przez siebie kierunku.

Najlepszym miesiącem do takiej wyprawy jest lipiec, bo w sierpniu panują tam gęste mgły i lato kończy się 15 sierpnia.

„Pierwszą naszą przygodą — pisze autor — było spotkanie z dwoma niedźwiedziami białemi, płynącemi wąskim korytarzem, pomiędzy lodowemi krami. Zwie- rzęta te na śniegu poruszają się bardzo szybko, ale w wodzie płyną raczej powoli i ponieważ nie mieliśmy zapasu mięsa, dwoma celnemi strzałami udało się nam zabić oba. Okazało się, że to matka z młodym, prawie już dorosłym niedźwiadkiem (małe trzymają się matki do ukończenia drugiego roku życia). Starsze same za- wsze żyją osobno. Zabite okazy były tłuste i miały wspaniałe białe futra, a mięso po oczyszczeniu z tłu- szczu smakowało nam wyśmienicie.

Nazajutrz złapaliśmy na lasso pływającego niedź- wiadka; matka jego zdążyła uciec, wypuściliśmy więc i małego, bo się nam go żal zrobiło, taki był zabawny i miły!

Niedźwiedzie żywią się przeważnie fokami, które pod- chodzą ukradkiem i zabijają jednem potężnem uderze- niem łapy w głowę. W zimie, kiedy foki żyją w wodzie i tylko od czasu do czasu wychylają się w jakiejś szcze- linie w lodzie, aby zaczerpnąć trochę powietrza, niedź- wiedź siedząc cierpliwie, czatuje na ukazanie się foki, chwyta ją obu łapami za głowę, z taką siłą, że ją miaż- dży w jednej chwili i szybkim ruchem wyciąga na

brzeg, aby przypadkiem nie wypadła pod lód, skądby nie mógł jej wydobyć.

My też pod biegunem byliśmy nieraz zmuszeni jeść mięso foki, gdy innego nie było — ale przyznaję, że ze wstrętem, bo jest prawie czarne i dziwnie nieapetyczne! Smakuje może lepiej, niż wygląda, ale o ileż woleliśmy pieczeń z niedźwiedzia!

Pewnego dnia wybraliśmy się na sąsiednią wysepkę, gdzie podobno miało być stado reniferów. Niełatwo było wylądować, bo dzień był ciepły i śnieg tajał gwałtownie, ale po przebyciu kilku mil znaleźliśmy dolinę pokrytą miękkim, wysokim mchem, po którym stąpaliśmy, jak po dywanie. Raptem na zakręcie, ujrzeliśmy w oddali pasące się stado! Niestety ono też nas spostrzegło i przeczuwając niebezpieczeństwo, rzuciło się do ucieczki. Wkrótce znikło na wzgórzu, za skałami. Chcieliśmy je gonić, ale błoto tak było straszne, że musieliśmy zaniechać tego zamiaru. Dużo później moi towarzysze wybrali renifera, którego przywieźli do obozu w triumfie.

Konie morskie (morsy) można podobno było spotkać dawniej w wielkich ilościach we wszystkich zatokach, ale obecnie stopniowo cofają się one bardziej na północ. Nie udało nam się zabić żadnego, choć widzieliśmy je nieraz zdaleka. Tylko kły znajdowaliśmy od czasu do czasu, nie przedstawiały jednak żadnej wartości, wystawione widocznie zbyt długo na zmiany powietrza.

Polowaliśmy też na gęsi, których mięso jest bardzo smaczne i wysuszone stanowi główne pożywienie tubylczej ludności w czasie długiej zimy podbiegunowej. Na jednej z wysepek, wdrapawszy się na wysokie skały nad morzem, ujrzeliśmy na dole nad morzem ogromne stado. Jak zawsze rozstawiły straż, któraby je uprzedzała o zbliżającem się niebezpieczeństwie. Ale nas nie dojrzały pomiędzy skałami, tak, że trzema strzałami zdobyliśmy trzy piękne ptaki, zanim reszta odleciała w popłochu. Gęsi tamtejsze są dużo mniejsze niż domowe, na nasze więc apetyty, trzy sztuki na cztery osoby było trochę za mało. Ale co to była za uczta! Potem z nowemi siłami ruszyliśmy dalej i zaraz w sąsiedniej zatoce znaleźliśmy drugie stado, cokolwiek mniejsze, złożone z trzech odmian, z których dwa nazwane w narzeczu miejsowem Skuas i Auks, zupełnie niejadalne. Ponieważ z tej racji nikt na nie nigdy nie poluje, są bardzo swojskie i matki siedzące na jajach pozwalają się podejść tak blisko, że można je sfotografować. Jeżeli młode są wyklute, próbują matki odciągnąć uwagę przybysza, udając złamane skrzydło, lub nogę, a gdy to nie pomaga, rzucają się na intruza, bijąc go skrzydłami po głowie.

Jedną z rzeczy, które najbardziej przeszkadzają na łowach pod biegunem, to cisza, w której każdy dźwięk, każdy najlżejszy szmer nawet, rozlega się w przerażający sposób. Wśród tych olbrzymich, bezludnych obszarów, w promieniach dziwnie czerwonego północnego słońca, cisza ta wydaje się jakąś straszną, niesamowitą potęgą, przejmując grozą najodważniejsze serca".

A jednak kraj ten nie był zawsze podobno takiem pustkowiem, jakiem jest dzisiaj, i możliwe, że sytuacja znów się kiedyś zmieni. Zauważyć można, że groźne góry lodowe cofają się coraz bardziej na północ i klimat w wielu miejscowościach, między innemi w Grenlandji, stał się od kilku lat o wiele łagodniejszy. Może i tu z czasem ludzie mieszkać będą mogli, bo dotychczas, przyjeżdżają jedynie na parę miesięcy letnich, zostawiając przez resztę roku, całą okolicę białym niedźwiedziom, jako ich niepodzielne królestwo.

M. Z.



OFIARA WNYKARSTWA

Fot. Jan Kwiatkowski — *Wiązownica pow. Jarosław*

FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

Wyprawa na niedźwiedzie w Kolumbji Brytyjskiej po rzekach Stickine i Scud. Łódką po rzece Stickine. Odwiedziny niedźwiedzia. Uciążliwe przeniesienie bagażu. Mój drugi szary niedźwiedź. Port Wrangel. Seatlle.

(Dokończenie)

Nie miałem rzeczywiście chwili do stracenia, ale takie jeszcze ciemności zalegały, że trudno mi było odróżnić wyraźnie przedmioty naokoło mnie, a niedźwiedź znajdował się o jakie 100 yardów. Nakoniec, gdy mi się wydało, że go już wziąłem na cel, pociągnąłem za cyngiel... Krótki, cichy dźwięk żelaza był jedynym wynikiem.

Wystrzeliwszy wszystkie naboje 303, miałem tylko jako model stare pudełko kanadyjskich naboi, kupio-

nych w „Telegraph Creek", gdzie innych wcale nie było. Na szczęście, przy drugiem pociągnięciu broń wypaliła a niedźwiedź podskoczył wysoko, rzuciwszy się następnie w stronę, gdzie Barney i Billy przycupneli za kamieniem.

Obawiałem się, że może znowu teraz nabój nie wypali, jednak gdy niedźwiedź stanął przedemną o kilka kroków, wystrzeliłem mu prosto w łeb, a wtedy olbrzym ten wykonawszy nadzwyczajnego koziołka w powietrzu, powalił się za strasznym rykiem na ziemię, drapiąc ją z okropną wściekłością a potem zaczął sapać hałaśliwie i pienić się — zupełnie jak ten, którego zabiłem przedtem w górach.

Radzi będąc, że się tak dobrze udało, pobiegliśmy prędko w dół rzeki, przypuszczając, że może zajdziemy drogę jakiemu zapóźnionemu jeszcze rannemu gościowi, zanim tenże z nocnej wędrówki wejdzie w gąszcz leśny, ale napotkaliśmy tylko cały szereg zupełnie świeżych tropów, które zawiodły nas w krzaki; zawróciliśmy więc, by zabrać nasz łup już gotowy.

Okazało się, że był to młody, szary niedźwiedź, trochę większy od tego, którego dawniej ubiłem; futro zaś miał prześliczne z granatowym odcieniem i białym kołnierzem wokoło szyi. Pierwsza kula trafiła go w kolano tylnej łapy, a druga — prosto w komorę.

Przekonałem się naocznie, że zdejmowanie skóry z niedźwiedzia jest rzeczą bardzo trudną, gdyż na grzbiecie jest ona bardzo miękką i mocno przyrośniętą do mięsa. Gdy leżał tak odarty ze skóry, wywrócony na grzbiecie, robił zupełnie wrażenie nagiego, nieszczęśliwego człowieka.

Całe to przejście z niedźwiedziem przypomniało mi się znowu w rok później, gdy będąc już norweskim konsulem w Montreal, w Kanadzie, siedziałem pewnego dnia w salonie w Klubie Mount Royal, rozmawiając z jednym panem o myślistwie i właśnie opowiadałem mu o tym swoim niedźwiedziu nad rzeką Scud i mimowoli odezwałem się nie zbyt pochlebnie o nabojach, których wtedy użyć musiałem.

Kanadyjczyk zapytał mnie jakiej one były marki: odpowiedziałem mu, że „Dominion Cartridge Company", a on mi na to odrzekł filuternym, a zarazem ironicznym tonem: „Jestem prezesem „Dominion Cartridge Company".

Niebo się teraz trochę wypogodziło i słońce zaświeciło, więc udało mi się dobrze sfotografować rzekę Scud i jej okolicę. Wysłaliśmy Billy'ego naprzód ze skórą niedźwiedzia do Stickine, aby mniej rzeczy mieć potem z sobą do przenoszenia.

Pomimo skrzętnego bardzo zwiedzania całej okolicy, nigdzie więcej nie spotkaliśmy niedźwiedzi, a że zapasy jedzenia zupełnie się nam już kończyły, uważałem, że najlepiej będzie wrócić do Stickine, a stamtąd z powrotem do „Telegraph Creek".

13-go listopada, bardzo wczesnym rankiem, przy fatalnej pogodzie, zapakowaliśmy nasze tłumoki i ciężko niemi obarczeni, przeszliśmy przez te same gęste krzaki, gdzie znowu czułem wbijające się w me ciało ostre kolce djabelskiego zielska „Devil's Club".

Zastawszy łódkę na tem samem miejscu, gdzieśmy ją zostawili, załadowaliśmy się na nią i popłynęli w górę rzęki, której wartki przeciwny prąd, dawał się nam bardzo we znaki i nie mogliśmy tak chyżo postępować, jak wpierw, gdyśmy tu w dół płynęli.

Barney jednak i Billy, jako doświadczeni majtkowie, umieli sobie z tem poradzić, więc gdzie tylko brzeg był taki, że można było iść nim pieszo, Billy i ja schodziliśmy z łodzi i zapomocą grubego sznura przywiązanego do łódki, ciągnęliśmy ją wprzód, a jednocześnie Barney wiosłował na łódce. Nad brzegiem, w jednem miejscu, spłoszyliśmy stado kaczek, które udało mi się prawie całe upolować, gdy przelatywało nad nami — co było wielką zdobyczą dla naszej śpiżarni, opustoszałej do minimum. Tegoż jeszcze wieczora dotarliśmy do małego strumienia za rzeką Canyon i tu rozłożyliśmy się obozem.

Nazajutrz przybyliśmy do chaty „Old Man Kirk's" i przedstawiłem się jej gospodarzowi. Był to staruszek 70-letni, rześwy jeszcze, o długiej siwej czuprynie i takiejże brodzie. Mieszkał zupełnie sam. Z trudnością już mówił, gdyż rzadko bardzo ludzi widywał, ale w końcu wytłumaczył mi, że posiada małą dzierżawę w górach, za rzeką, gdzie w lesie kopie zawsze złoto.

Starzec ten tylko co powrócił z polowania i opowiadał mi, że zabił w górach 3 kozły, ale wszystkie spadły w stromą przepaść, tak, że żadnej z nich nie mógł dostać. Od wielu lat żyje tu sam zupełnie — jedynie pod Opatrznością Boską. Niedawno jedyny syn odwiedził go, chcąc ojca zabrać ze sobą; nie pojechał z nim jednak i tak mi teraz powiedział: „Ci młodzi nie mają w niczem wytrwałości". Po tych słowach wyszedłszy, powrócił za chwilę, pokazując mi w ręku swem woreczek pełen kawałeczków złota, które sam nakopał.

Zostawiwszy skórę niedźwiedzią z Kirk'iem, aby wyschła, przeprawiliśmy się na drugi brzeg i zaszliśmy do chaty przy rzece Clearwater, prosząc p. Wilsona o pożyczenie nam trochę słoniny i kartofli.

Tegoż dnia mignął się nam niedźwiedź, właśnie wtedy, gdyśmy obchodzili rzekę, ale tak prędko biegł i wpadł zaraz do lasu, że nie zdążyłem nawet zmierzyć się do niego.

Wieczorem rozbiliśmy obóz przy „Dutch Charley's Bluff", gdzie dochodził nas świst motorowej łódki, daleko, w dole. Nazajutrz spotkaliśmy na wodzie całe towarzystwo myśliwych, odbywających podróż płaskodonką w dół rzeki Iscut, innego jeszcze dopływu rzeki Stickine, poniżej Scud. Oni też polowali tu na niedźwiedzie i bardzo się zajęli dziwnym, acz szczęśliwym mym łowem.

Około południa dostaliśmy się do Glenora i tu wyszedłem na brzeg, aby iść już pieszo resztę drogi do „Telegraph Creek". Zauważywszy dym wychodzący z komina z jednej z wielu chat, zupełnie na pozór opuszczonych, zbliżyłem się i zastukałem do okna, które

mi natychmiast otworzył tęgi, wysoki mężczyzna, prosząc do środka. Zapytał mię po angielsku, skąd przybywam, a gdy mu oznajmiłem, że z Norwegji, radosny uśmiech twarz mu opromienił i odezwał się do mnie czystym norweskim językiem. Pokazało się, że był on moim rodakiem i zwał się Bodahl. Zawiązała się więc długa między nami gawęda, gdyż był spragniony wieści ze swej ojczyzny, a gdy odchodziłem, obdarował mię prześliczną parą indyjskich „mocasins", haftowaną paciorkami.

W „Telegraph Creek" spotkałem wszystkich myśliwych, którzy już wracali z różnych łowów, więc się zaraz potoczyła szeroka rozprawa o wspólnych przygodach i powodzeniach.

Wspaniała zebrała się też kolekcja przeróżnych trofeów w łopatach łosiowych, lecz pokazuje się, że ten rok nie sprzyjał łowom na łosie o dużych łopatach (moose antlers), gdyż żadna z rosoch nie mierzyła więcej niż 60 cali. Mimo to jednak, były one prześliczne!

Przez cały szereg dni musieliśmy teraz czekać na przybycie tu motorowej łodzi, a wkońcu pokazało się, że nie będzie ona mogła płynąć dalej, jak tylko do Glenora, więc spakowaliśmy wszystkie nasze trofea i bagaże na łodzie „płaskodonki" i popłynęliśmy w dół rzeki. Moja własna łódka leżała przez całe lato na brzegu, więc ciekła jak rzeszoto, tak, że po półgodzinnem jej użyciu, musieliśmy ją na brzeg wyrzucić.

Naprzemian, to deszcz, to śnieg padał i tak byliśmy zmarznięci, że gdy dopływaliśmy do wodospadów, Indjanin porzucił ster, nie chcąc dalej płynąć. Nie pozostawało więc nic innego, jak wyjść na brzeg i iść pieszo do Glenora, gdzie się zatrzymałem w leśniczówce, należącej do mego przyjaciela, Norwega, Bodahlá, by się chociaż wysuszyć. Było tu także u niego trzech ludzi, którzy się wywrócili z łódką przy wodospadach, i zgubili tam prawie całe swe mienie.

Nakoniec, późnym wieczorem przybyła dawno oczekiwana motorowa łódź, do którejśmy zaraz poszli i nazajutrz płynęliśmy rzeką w dół, zatrzymawszy się tylko na parę godzin przy ujściu rzeki Ikut, gdzie dwóch Amerykanów myśliwych udało się jeszcze na niedźwiedzie. 21-go listopada przybyliśmy do portu Wrangiel, przy zwykle panującej tu, słotnej pogodzie.

Parostatek, który miał nas zawieść do Seattle, spodziewany był nazajutrz, więc potrzebując wypoczynku, udałem się wcześnie spać do hotelu. Jednakże nie na długo, bo zbudził mię zaraz straszny hałas na schodach na dole, więc ubrałem się pośpiesznie, by się dowiedzieć, co się tam stało. Na ostatnim schodzie siedział chłopiec i grał skoczny jakiś taniec na skrzypcach, a pośrodku hol'u tancerka wykonywała tańce solo, publiczność zaś cała wtórowała jej klaskaniem w dłonie w takt muzyki.

Dowiedziałem się, że to była norweska grupa rybaków, powracająca z pomyślnego połowu, a gdy się dowiedzieli, że jestem ich rodakiem, zaprosili mię koniecznie do środka i nie puszczali, dopóki nie nadszedł parostatek.

Płynąc teraz wszyscy razem, tworzyliśmy dziwną mieszaninę różnych ludzi i narodowości. Byli tu: dzierżawcy, właściciele kopalń, murzyni i biali ludzie, „girls" z dancingów i najrozmaitsza hałastra z obozów górniczych.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy pewnego starego arystokraty, pułkownika, siedzącego wygodnie w pokoju z fajeczką na górnym pokładzie okrętowym, gdzie Amerykanie, ustawieni w równym szeregu, szli w zakład, który z nich więcej razy celnie splunie do trzech ogromnych spluwaczek, ustawionych na końcu pokoju. Muszę jednak przyznać, że ich zręczność była zdumiewająca.

KONIEC

ALBERT MNISZEK

WYPRAWA

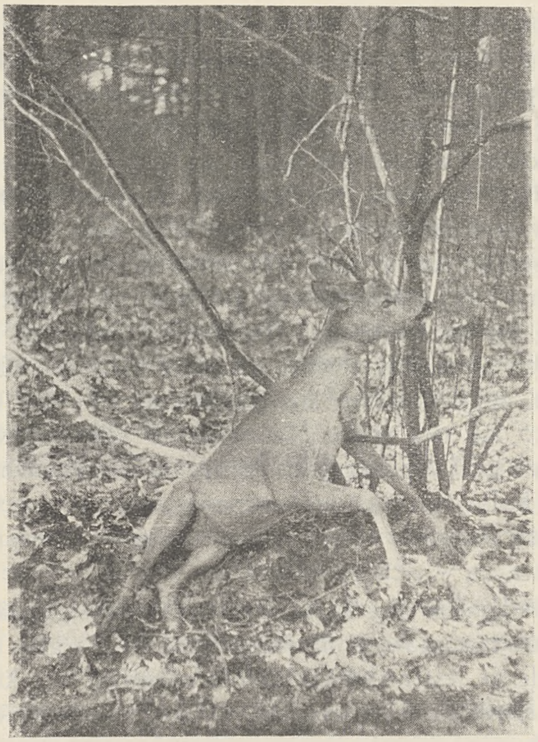
Broń na ramię, kij do ręki i idę w nieznane...
Za mną hucuł z plecakiem; nasze miękkie kroki
dźwięczą dziwnie w tej ciszy; blaski pozłacane
latarki świecą skąpo. Wkraczam w puszczy mroki.

Nad nami świecą gwiazdy; złotem u zenitu
mlecznych dróg przez niebiosa toczy Noc warkocze.
W parowie płacze strumień. Pniemy się na zbocze,
ku szczytom, co zapłoną od pochodni świtu.

Puszczo! Do ciebie wchodzę, ja z mglistego świata,
by się ogrzać twem słońcem, co wzleci na niebie!
Chciałbym tonąć w twem łonie, prześnić z tobą lata...

jak ten majtek-rozbitek, gdy go burza grzebie,
on swe życie oddaje śmiercionośnej fali,
by spocząć na dnie morza w grobowcu z korali.

Z cyklu: Sonety karpackie
październik 1931 r.



OFIARA WNYKARSTWA

Fot. Jan Kwiatkowski *Wiązownica pow. Jarosław*

Conseil International de la Chasse

Sesja II-ga.

Niszczenie ptactwa morskiego przez wpuszczanie do morza pozostałości mazutu, ciężkiej oliwy używanej jako paliwo przez niektóre okręty.

Referat wygłoszony przez Pana Ludwika de Ternier, członka Stałej Komisji łowieckiej przy Ministerstwie rolnictwa we Francji, a zarazem członka Międzynarodowego Komitetu ochrony ptactwa.

Na porządku dziennym II-giej sesji M. Z. Ł., zamieszczono sprawę ptactwa przelotnego. P. Dr. Derscheid, jeden z reprezentantów Belgji był desygnowany jako referent sprawy wyniszczania ptactwa morskiego przez mazut. Ponieważ jednak P. Dr. Derscheid, znajduje się obecnie w misji zagranicznej i z tego powodu nie może wygłosić swego referatu, zażądał P. Ducrocq, Prezydent Związku, bym się podjął studjum sprawy „mazutu". Sprawa ta interesuje mnie szczególnie jako honorowego Prezydenta Ligi Ochrony Ptactwa, której byłem jednym z założycieli i jako myśliwego, bardzo zaniepokojonego o byt zwierzyny w ogólności, a o byt ptactwa wodnego w szczególności.

Zamieszkując posiadłość położoną na wybrzeżu morskiem, w zatoce Sekwany, w miejscu bardzo nawiedzanem przez ptactwo wodne wszelkiego gatunku, a szczególnie przez ptactwo ściślej morskiem nazwane, a mianowicie przez uhle[1], nurki względnie nurniki[2], perkozy[3] i nury[4], miałem sposobność przez szereg lat obserwować postępy wyniszczania tych ptaków, przez wpuszczanie pozostałości ciężkich olejów do morza i do ujścia rzeki.

Stwierdziłem nadto i w innych miejscowościach to niszczenie, a liczni moi korespondenci francuscy i zagraniczni, stwierdzili zgodnie ze mną powagę niebezpieczeństwa, jakie dla zachowania ptactwa nurkującego przedstawia używanie przez okręty mazutu i ważność sprawy zastosowania środków, mogących to niebezpieczeństwo naprawić, złagodzić, jeżeli nie zażegnać zupełnie.

Wiele okrętów używa obecnie mazutu jako paliwa, zastępującego korzystnie węgiel.

Pozostałości tego paliwa wpuszczone do morza, tworzą na jego powierzchni obszerne płachty, nie nafty, jak o tej sprawie często piszą, lecz substancji klejowatej, smolistej, lepkiej i zlepiającej, koloru ciemno-brunatnego, podobnego do płynnej smoły. Ta ciecz lżejsza od wody, pływa na jej powierzchni i jak każda oliwa na wodę wylana, zajmuje znaczne przestrzenie, na których łagodnieje kołysanie się bałwanów i ruch fali. Skoro ptaki morskie pływające pojedyńczo lub w stadach wejdą w kontakt z taką płachtą oliwy, są skazane nieodwołalnie na zagładę. Pozostałości mazutu bowiem mając własności wybitnie zlepiające, czepiają się piór części spodnich ptaków, zlepiają je, co w swym rezultacie powoduje, że woda morska jest w stanie zamoczyć spód ich upierzenia czyli puch i dostać się aż do skóry. Nie dzieje się to nigdy, gdy pióra nie zostały dotknięte oliwą i tworzą zwarte i nie przepuszczalne okrycia dokoła ciała ptaków.

Tłumaczono ten fakt tem, że pierze ptaków nie jest samo przez się nieprzemakalne i że konsekwentnie nie może inaczej chronić ciała jak tylko przez to, że jest nasycone tłustością, a że nafta rozpuszcza tę substancję tłustą, odtłuszczone pióra chłoną wodę, tak, jak to czyni bawełna hydrofiliczna lub wata opatrunkowa, podczas gdy wata surowa, nieodtłuszczona jest nieprzepuszczalną. Tłumaczenie to może być słusznem tylko w niektórych wypadkach, ale należy pamiętać, że pozostałości mazutu nie są naftą, one nie odtłuszczają piór, a przeciwnie one je walają i zlepiają. Według mych doświadczeń i obserwacyj jest pierze ptaków nieprzepuszczalne nie dlatego jedynie, że jest natłuszczone, ale dlatego, że pióra ułożone są dachówkowato i silnie jedne na drugie zaciśnięte, a to przez specjalny skurcz skóry, zależny od woli ptaka. Zaciśnięcie to wytwarza rodzaj koszulki pancernej nie przepuszczającej wodę. Dowodem prawdziwości tego twierdzenia jest fakt, że ptaki pływające bądźto całkiem nienaruszone bądź ze złamanem tylko skrzydłem, ale przy życiu pozostające, nie mają nigdy zamoczonego pierza spodniego, jakąkolwiek byłaby siła fali, którą ptaki napotykają. Skoro jednak ptak zraniony zginie na wodzie, to jego pierze namaka, gdyż skurcz skóry, o którym mówiłem, ustaje wraz z jego życiem. Gdyby prawdziwą przyczyną nieprzepuszczalności piór było to, że są one poprostu na-

[1] macreuse — Oedemia fusca. [2] guillemot — Uria. [3] grèbe — Podiceps. [4] plongeon — Colymbus.

tłuszczone, to nie byłyby one przemoczone mimo śmierci ptaka.

Pióra ptactwa morskiego „dotknięte mazutem" lub „zmazutowane" (są to utarte już o tem wyrażania) nie są wcale odtłuszczone, przeciwnie są one zlepione przez pozostałości zlepiające i tworzą małe kłaczki nieco rozburzone, dając widzieć od spodu upierzenia puch, siwy u uhli, a białawy u nurników, perkozów i nurów. — Puch jest przesączalny, a przeto się moczy, gdy się woda dostanie pod pióra przez przerwy spowodowane zlepieniem się piór przez mazut. Jest trudnem zdać sobie sprawę z koloru pozostałości mazutu, gdy ten powalał czarniawe upierzenie uhli, natomiast na upierzeniu nurników, perkozów i nurów, można stwierdzić, że pozostałości mazutu są ciemno-brunatne i odznaczają się kolorem bardzo jaskrawo od bieli spodu pierza tego ptactwa.

Jeżeli się zatrzymuję dłużej przy tych szczegółach, to aby wykazać, że ptak dotknięty mazutem jest na śmierć skazany. Gdyby jego pióra były tylko odtłuszczone i zmoczone, to ptak mógłby się poprostu wysuszyć na lądzie, podczas, gdy jakkolwiek tam się udaje, nie może uwolnić swych piór od pozostałości mazutu i moknie na nowo, skoro tylko na morze powróci.

Jednem słowem, ptaki morskie czy to pływające na powierzchni, czy to nurkujące, mogą tylko wtedy bez niebezpieczeństwa dla siebie stawić czoło płynnemu elementowi, gdy ich ciało nie pozostaje w bezpośredniem zetknięciu z wodą. — Podobne są one w tym względzie do ludzi i gdy zostaną zmoczone „aż do szpiku kości", chorują i giną.

Pan J. Drijver w pracy opublikowanej w Holandji za staraniem Niederlandzkiego Towarzystwa dla ochrony ptactwa podaje, że badając ptaki morskie zabite mazutem stwierdził, iż uległy one pneumonji a Dr. Eijkman, który dokonywał tych sekcyj doszedł do przekonania, że część ich ginie na zapalenie płuc.

Mazut ma zresztą dla ptaków i inne jeszcze złe, równie ważne, skutki. Skoro ptaki mają cały spód ciała mazutem pomazany, walają sobie nim także duże pióra skrzydeł, a wtedy lot ich staje się utrudniony, jeżeli wogóle jeszcze jest możliwy, a gdy dotknięte są także pióra na udach, ptaki nie mogą długo nurkować, w konsekwencji czego nie mogą zdobywać swego zwyczajnego pożywienia. Wiele ich przeto ginie z głodu, a także od zimna, ale zwyczajnie na wybrzeżach zamieszkałych nie pozwalają ludzie ptactwu dotkniętemu pozostałościami mazutu ginąć aż na pneumonję lub z głodu!

W rzeczywistości bowiem ptaki morskie starają się osiągnąć natychmiast brzeg, skoro tylko poznają, że są choćby lekko dotknięte mazutem. Te, które nie mogą latać, gdyż pióra spodu ich korpusu są bardzo nasiąknięte mazutem, dobijają do lądu wpław i gromadzą się na piasku lub na żwirowiskach, dając się wtedy rękami łapać. Inne, mające tylko niektóre pióra zlepione, latają tam i zpowrotem lotem szybkim, w pobliżu wybrzeża, na które siadają, robiąc się mało płochliwe wskutek czego stają się łupem myśliwych.

Wszystkie przychodzą na ląd w określonym celu. Jedne aby uniknąć, by zlepione ich upierzenie dozwoliło wodzie dosięgnąć ciała, inne, aby się osuszyć, a także, jak zauważyłem, aby spróbować oczyścić dziobem powalane mazutem pierze. W czasie burz rozlewające się na brzegi fale wyrzucają wiele ptaków dotkniętych mazutem nieżywych lub dogorywających. Powtarzam jednak, że unicestwienie ptactwa dotkniętego mazutem, następuje z reguły przez myśliwych, rybaków i innych ludzi, przebiegających wybrzeża.

(Dokończenie referatu w następnym numerze).

(tłum. *A. Sander*)

---

†

Józef Leon z Lubrańca hr. Dąmbski

Dnia 2 listopada b. r., w przepyszny dzień jesienny, zginął skutkiem nieszczęśliwego wypadku, w 30 roku życia, ś. p. Józef hr. Dąmbski, syn Aleksandra, właściciela Wałycza na Pomorzu i ś. p. Marty z hr. Wodzickich a wnuk ś. p. Kazimierza Wodzickiego z Olejowa.

Katastrofę spowodowało auto ciężarowe, pod które spłoszona klacz zrzuciła znakomitego jeźdźca. — Samochód zmiażdżył Nieszczęśliwemu głowę, powodując śmierć natychmiastową.

Ze śmiercią ś. p. Józefa Dąmbskiego schodzi do grobu jeden z najdzielniejszych Polaków na Pomorzu. W zaraniu swej młodości walczy jako ochotnik Wojsk Polskich z Ukraińcami — i zostaje poważnie ranny. Potem odbywa kampanię bolszewicką 1920 roku, z której wraca odznaczony „Krzyżem Walecznych". — Po ukończeniu Wydziału Rolnego na Uniwersytecie w Poznaniu, obejmuje administrację majątku Wałycz. — Będąc myśliwym z krwi i kości, doprowadza wraz ze swym bratem Jerzym w krótkim czasie Wałycz do dużego łowieckiego rozkwitu. — Będąc znakomitym jeźdźcem, bierze udział w wielu konkursach hipicznych i biegach myśliwskich, zdobywając liczne nagrody.

Na wiosnę 1929 roku wyjeżdża do Peru i tam w Montanji Peruwiańskiej bada w najtrudniejszych warunkach problemy polskiego osadnictwa za morzem — a w wolnych chwilach od pracy, oddaje się z zapałem umiłowanemu przez siebie łowiectwu, robiąc rekordowe strzały i zdobywając liczne a piękne trofea myśliwskie.

Kilka miesięcy temu powrócił do kraju pełen zapału do pracy i do życia. Robił śmiałe projekty, obliczone na lata, planował dalsze wędrówki po egzotycznych lądach i morzach. — Okrutna śmierć powiedziała swoje zimne, nieubłagane „veto" — przecinając nagle pasmo tego młodego życia.

Światłość wiekuistą racz Mu dać Panie — a Polska Ziemia, za której wolność walczył — niech Mu będzie lekką.

S. K. M.

Ś. † P.

Ks. Michał Zaremba

Kanonik, Proboszcz kościoła parafjalnego w Zadwórzu, długoletni członek M. T. Ł.

zmarł 12 listopada 1931 r.

Cześć pamięci wiernego Tow. z pod znaku św. Huberta.

Ś. † P.

Władysław Mięsowicz

emer. radca województwa, delegat M. T. Ł. i P. Z. S. Ł.

zmarł w Krakowie dnia 30 października 1931 r., przeżywszy lat 54.

Pokój Jego duszy!



KORESPONDENCJE

Apel do myśliwych

Nie każdemu jest danem brać udział w tem misterjum, jakiem jest rykowisko jeleni w Karpatach, wśród wielkiego czaru jesieni polskiej.

Cudownie opiewa te czary, odczute całem sercem i duszą, niezrównany nasz redaktor „Łowca".

Dzięki Ci za to od dusz, które z Tobą razem je odczuwają i jakoby udział biorą w Twych myśliwskich wrażeniach!

Niech Twe słowa będą bodźcem i zachętą dla starych i młodych myśliwych do współpracy z Tobą. Niech nie będą oni samolubami, lecz z swojemi przeżyciami myśliwskiemi niech się dzielą z ogółem! Bo to co kochamy w przyrodzie i łowiectwie, co jest ich pięknem, jest wspólną naszą własnością.

Nie pozwólmy, by jednostka, pozbawiona pomocy ze strony naszej, padła pod brzemieniem pracy.

Zjednoczmy się pod szczytnem hasłem:

wobec pracy my jednacy,
praca dziś to nasza broń!

Stańmy do niej społem i zasilajmy łamy naszego kochanego pisma łowieckiego, a spełnimy obowiązek wobec nas samych i wobec wszystkich!

Stanisław Haleniak



Tow. Lisowickie polowało, jak co roku, od 15. X do 22. X 1931. Mimo nie bardzo przychylnej aury i braku nalotu słonek, z bardzo dobrym rezultatem. Stan zwierzyny z roku na rok nadzwyczajnie się poprawia, a liczba 39 ubitych jarząbków jest najlepszym tego dowodem. Rogaczy padło tylko 11, ponieważ pozwolenie ministerstwa na tyle opiewało, ale łatwo i bez szkody dla zwierzostanu mogło było paść 30. Ogólny wynik opiewa: dzików 17, rogaczy 11, lisów 18, jarząbków 39, słonek 27, zajęcy 98, kuna 1, różnych 15. Razem 227 sztuk na 610 strzałów.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich nadał Towarzystwu naszemu złoty medal wraz z dyplomem, za wybitne zasługi około podniesienia kultury łowieckiej na terenach Towarzystwa.

Roman Bielski
sekretarz

Jesienne popisowe strzelanie myśliwskie w Zborowie

Dnia 17 października 1931, odbyło się w Zborowie, dzięki energicznym staraniom Pana Starosty Alfreda Kocóla — jesienne popisowe strzelanie myśliwskie, na nowo otwartej i pięknie urządzonej strzelnicy miasta Zborowa.

Całą organizację zawodów i prowadzenie tychże wziął Pan Starosta Alfred Kocół na siebie i musi się stwierdzić, że z wziętego na siebie zobowiązania wywiązał się nadzwyczajnie. Wszystko co było w ramach możliwości, zostało urządzone. Droga cała prowadząca z miasta na strzelnicę została pięknie udekorowana chorągiewkami, a sama strzelnica przedstawiała widok miły, gdyż została oświętnie przybrana. Piękna pogoda jesienna pozwoliła na duży zjazd myśliwych i z dalszych okolic Zborowa. Programem objęte były trzy strzelania a to: 1) strzelanie do tarczy stałej na 50 metrów z broni małokalibrowej w pozycji stojącej; 2) strzelanie do jelenia stojącego na 100 metrów z broni dowolnej; 3) strzelanie do dzika ruchomego na 50 metrów — strzał pojedyńczy.

Pierwszy raz od czasu wojny, mieli myśliwi zborowskiego powiatu sposobność zmierzyć swe siły na własnej bardzo dobrze i praktycznie urządzonej strzelnicy. Zainteresowanie się samemi zawodami było dość duże, gdyż sama strzelnica była przepełniona ciekawymi, z których niektórzy z daleka przybyli, by być świadkami rozgrywających się zawodów.

Zawody rozpoczęły się o godz. 1-szej, strzelaniem do tarcz stałych z broni małokalibrowej.

WYNIKI:

Odległość 50 metrów — broń małokalibrowa — maximum punktów 50. Strzałów 5.

1) Pan Stanisław Zawidowski — 35 punktów, zdobywa nagrodę Pana Władysława Wyszkowskiego (browning kal. 6,35).

2) Pan Antoni Sykora — 35 punktów, zdobywa nagrodę Magistratu miasta Zborowa. (Sowa — porcelana Pacyków).

3) Pan Mjr. Jan Witkowski 52 p. p. — 31 punktów, zdobywa nagrodę Banku Zaliczkowego w Zborowie. (Walizka).

Odległość 100 metrów — strzelanie do jelenia — broń dowolna, maximum punktów 25, strzałów 5.

1) Pan Stanisław Zawidowski — 22 punkty, zdobywa nagrodę Jerzego hr. Potockiego (zegar marmurowy).

2) Pan Władysław Wyszkowski — 18 punktów, zdobywa nagrodę Pana Ludomira Cieńskiego (album).

3) Pan Jerzy Köhli — 17 punktów, zdobywa nagrodę Pana Antoniego Sykory (thermos).

Odległość 50 metrów — strzelanie do ruchomego dzika — broń dowolna — maximum punktów 60. — Strzałów 5.

1) Pan Zawidowski — 46 punktów, zdobywa nagrodę „Kniei Nuszcze" (kordelas).

2) Pan Jerzy Köhli — 42 punkty, zdobywa nagrodę Pana Starosty Alfreda Kocóła (futerał na broń).

3) Jerzy hr. Potocki — 35 punktów, zdobywa nagrodę Pana mjr. Adolfa Dowoty (kasetkę czeczotową).

Zawody wywarły na wszystkich obecnych, strzelających i niestrzelających, bardzo miłe i sympatyczne wrażenie i mamy nadzieję, że na drugi rok znowu spotkamy się na strzelnicy zborowskiej, by spędzić parę naprawdę miłych i przyjemnych chwil. Wszystkim organizatorom owej miłej imprezy należą się słowa szczerego podziękowania, jakie im też tu składam.

Stanisław Zawidowski

Dnia 5 listopada, odbyło się polowanie na terenach Wilanowa, u Hrabstwa Adamów Branickich, w którem wzięli udział Pan Prezydent Ignacy Mościcki, p. radca Michał Mościcki, Generałowie Piskor, Fabrycy i Głuchowski, Hr. Antoni Potocki, Hr. Roman Potocki, p. Władysław Koszulski, wojewoda Kościałkowski, pułkownicy Głogowski i Karcz, major Remigjusz Grocholski, państwo Władysławowie Dynowscy i hr. Adam Branicki. W 9 miotach leśnych i 2 miotach polnych padło 216 zajęcy, 19 bażantów, 11 kuropatw, 2 jastrzębie i jedna słonka. Najwięcej na rozkładzie miał Pan Prezydent: 27 zajęcy, 7 bażantów i 2 kuropatwy, cały czas dopisywała polowaniu ciepła, słoneczna pogoda.

W. Dynowski

Turza ad Sokołów pow. Kolbuszowa, 6 listopada 1931 r.

Zagrożone łowisko gminne w Trzebusce

Zdarzyło się raz, niedawno temu, że jeden z nauczycieli szkół powszechnych zapałał naraz niezwykłym afektem ku boskiej Artemidzie, wielkiej, jak wiadomo, opiekunce łowów. — Krótko mówiąc, chciał zostać myśliwym...

Może się urodził z żyłką myśliwską, która przywalona dotąd troskami o chleb codzienny, tliła w nim zaledwie i teraz dopiero jaśniejszym wybuchła płomieniem, może rozgorzała ona w nim nagle pod wpływem nowego otoczenia, nawykłego pobierać daninę z myśliwskiej przyrody w sposób zgoła prymitywny, może... może nadzieja na wyższe w tym roku ceny, sprawiła, że zapragnął polować i to koniecznie...

I niby zresztą złego w tem nie było, jeśliby jeszcze jeden adept sztuki myśliwskiej zaciągnął się pod sztandar zielony, wszak jest ich dzisiaj tylu, aby chodzić ze strzelbą, ale ażeby miał czas, znał dobrze prawo łowieckie i chciał je respektować i gdyby czuł powołanie i hołdował etyce myśliwskiej.

Wspomniany osobnik wziął się jednak do sprawy w sposób wcale nieodpowiedni. Zamiast poszukać za terenem wolnym, choćby nawet odleglejszym i wydzierżawić go, sięgnął po obszar najbliższy, należący już do kogo innego, zagospodarowany i będący ochroną dla stykającego się z nim dużego kompleksu lasu, świetnie pod względem łowieckim postawionego.

Może mu się marzyły zajączki, wychodzące o zmroku z ostępów leśnych na pola? Wszak do nich tak łatwo, tak miło wygarnąć z zasadzki przy jasnej poświacie księżyca...

Dość, że aby zagarnąć cudze polowanie, wszedł w ciche porozumienie z nowowybraną miejscową spółką łowiecką. I hajda na Soplicę!

Tak więc spółka chciała polowanie gminne oddać bez skrupułu z wolnej ręki swemu pedagogowi, za cenę minimalną, z wielkim uszczerbkiem dla gminy w tak krytycznym czasie.

Na szczęście znalazł się ratunek.

Delegat M. T. Ł. przez odpowiednie czynniki dał do zrozumienia świeżo upieczonemu nemrodowi, że on o wiele lepiej swojej wiosce się przysłuży, jeśli będzie sumiennie uczył w szkole, a wolny, od pracy szkolnej czas poświęci na działalność społeczną wśród ludu, wpajając weń poszanowanie cudzej własności a nadewszystko walcząc z rozwielmożnionem w tej okolicy kłusownictwem.

Wytępienie kłusownictwa stanowić będzie wielkie plus w jego pracy obywatelskiej i sprawi mu z pewnością daleko większe zadowolenie, aniżeli strzelanie w kopnach do zajęcy...

Następnie dzięki skutecznej interwencji Pana Starosty i Pana Inspektora szkolnego, wróciło polowanie gminne w Trzebusce znowu do rąk powołanych. — Za nią też składam obu Panom jak również za ich prawdziwe obywatelskie w tej sprawie stanowisko w imieniu prawidłowego łowiectwa, cześć głęboką i serdeczne podziękowanie.

Franciszek Dudek
delegat na pow. Kolbuszowski

Tłumacz, 10 listopada 1931 r.

Na mocy Dziennika Ustaw, który ogłasza rozporządzenie Ministerstwa Rolnictwa z dnia 20. X. 1931, o rozszerzeniu czasu ochronnego, § 1. tego rozp. obejmuje czas ochronny:

I. dla jeleni-byków od 1 listopada do 15 września,

II. dla sarn-kozłów, od 1 listopada do 15 maja i t. d., jako czas ochrony pozostający nadal ten sam.

Będąc zawodowym myśliwym i mając sposobność przez długoletnie doświadczenie, dokładnie zaznajomić się w Karpatach z naturą naszego króla gór pozwolę sobie następujące przedstawić:

I. Co do jeleni.

Rykowisko jeleni zaczyna się mniej więcej 10 września. Wiadomem też jest, że zaczynające ryczeć byki są najgrubsze, najstarsze a zatem kapitalne.

Przedwstępną swą miłość — okazuje jeleń ryczeniem 3—4 dniowem na miejscu przy kąpieli, poczem posuwa się dalej w poszukiwaniu za łanią, co trwa 1 do 2 dni; mamy zatem już 15 września. Do 20-go natomiast września, byk już kilka łań zapłodnił, czyli, że śmiało może być ale dopiero po 20 września — jako kapitalny — odstrzelony.

Jelenie ryczą do 5 października, czasokres zatem polowania na nie od 21/IX jest dziesięciodniowy — zdaje się zupełnie wystarczający — zaś przesunięcie właśnie tych 5 dni czasu ochronnego do 20/IX podczas rui, kolosalną różnicę robi.

Nie dość na tem, podchodzenie do jelenia po 20/IX, jest o wiele łatwiejsze niż przed, a to z następujących względów:

Jeleń przed 20/IX jest jeszcze albo sam, lub w pierwszych początkach zetknięcia się z łanią, oboje wówczas jeszcze dżentelmenują, zanim do oswojenia się przyjdzie i byk nie dość, że jest ogromnie zazdrosny, ale nadzwyczaj ostrożny i to tak dalece, że nawet na wabia trudno go dostać, bo obkrąża, a obkrążając natrafia na wiatr z przeciwnej strony myśliwego i ucieka.

Inaczej rzecz się ma po 20/IX, byk jest już ułożony, spokojniejszy a gdy nawet i sam znajdzie się, pomimo, że jest kapitalny, nie robi różnicy, jeżeli walczą dwa, jeden ustąpić musi, więc jako taki, poszukując już drugiej towarzyszki, zły, w chęci pomszczenia pierwszego przeciwnika, np. na wabia pełną parą idzie.

Pominąwszy i wabia, który nie wszędzie bywa stosowany jako jeden z najbardziej skutecznych sposobów, bo brak po temu wyszkolonych, podsuwanie się samo o tym czasie jest o wiele łatwiejsze a nawet i przy rudlu.

Ile to razy trafiało się, że gość np. przyjechał już 15/IX — pyta więc, ryczą? — Powiada gajowy: „Proszu Boha światoho taj Pańskoi łaski, tam je szisnacietka a tam dwacietka!" — A no pójdziemy na tego dwudziestaka!

Prowadzi więc gajowy, w chęci otrzymania tego strzałowego, gościa, który i nie każdy będąc wytrenowanym w górach mozoli się jeden dzień, drugi, trzeci, czwarty, ba i piąty a nawet i więcej, przychodzi zwykle do celu po 20/IX.

Przesunięcie zatem terminu czasu ochrony dla jeleni nie tylko, że daje ogromną korzyść, ale uwzględnia debatę Panów Myśliwych, którzy swego czasu na łamach „Łowca" sprzeciwiali się odstrzałowi podczas rykowiska i poza tem co najważniejsze, zachowuje tą miłą, tradycyjną praktykę łowów podczas rykowiska.

II. Co do sarn-kozłów.

W Karpatach zwykle śnieg ginie z końcem kwietnia, tak, że dopiero koło 15 maja, trawa i zioła zaczynają się zielenić. Z chwilą zatem powstania tej zieleni, tem samem i rogacz zaczyna się rozwijać, czyli, że 16/V nie jest zdatny do odstrzału, bowiem zupełnie chudy i niewyleniony — nie przedstawia najmniejszej wartości.

Przesunięcie zatem czasu ochrony z 15/V na 1/VI z powyższych względów prosi się.

Kiedym wspomniał o wabiu — nadmienić muszę jakie nieocenione przysługi daje wab podczas rykowiska, bez którego też pomimo największych mozołów, Panowie myśliwi, często gęsto bez gałązki jedliny powracają.

Wab nie tylko, że daje ogromną korzyść, ale podwaja o wiele emocję myśliwemu, bo cóż może być piękniejszem i bardziej wzruszającem, jak gdy myśliwy wabiąc, stuliwszy się za jakąś kłodą lub pniakiem, swobodnie przypatruje się, jak zwabiony jeleń nadchodzi zły, gotów do boju, — wali rogami o krzak lub kłodę albo rzucając wieńcem na prawo i lewo — majestatycznie pierś nastawia!

Zygmunt Kurzweil

Dotyczy sprawozdań z polowań

Upraszamy naszych Korespondentów przysyłających nam sprawozdania z odbytych polowań, by zechcieli nam je podawać w formie możliwie treściwej, trzymając się wyłącznie myśliwskiego tematu. Sprawozdanie może zawierać podanie miejscowości, daty, ilości myśliwych, ubitych sztuk, nazwiska myśliwych i króla polowania, wreszcie stan pogody w dniu polowania. Wszelkie zbędne, z myślistwem nic nie mające dodatki, jak opisy przyjęć u gospodarza i dziękowanie mu za zaproszenie i t. p., będziemy skreślać. Dodatki takie w sprawozdaniach nie licują z powagą fachowego pisma a zabierają w numerze niepotrzebnie za wiele miejsca.

Wzór sprawozdania: W miejscowości X, powiat Y, w dniu 20/XI b. r., ubito w 8 strzelb, w lesie 80 zajęcy, 2 lisy, przy 3° mrozu. Obecni: . . . . . . Królem polowania: p. Z. (18 zajęcy, 1 lis).

Red.





Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału Małop. Towarzystwa Łowieckiego w dniu 13/XI. 1931 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi: W. hr. Gołuchowski, A. Mniszek i A Sander; członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, T. Jędrzejowicz, Wł. Garapich, Dr. A. Małaczyński, Dr. J. Rosienkiewicz, Dr. Fr. Piechowski i A. Ulm; zastępcy: Z. Gronziewicz, Dr. St. Gajewski i St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili St. Jaśkiewicz, St. Pieńczykowski, H. Prek i Dr. W. Ziembicki.

Nad sprawozdaniem kasowem, wykazującem nieznaczne zapasy kasowe, a niebywale duże zaległości w składkach, wywiązała się ożywiona dyskusja, której wynikiem był wybór Komisji w osobach pp. Mniszka, Rosienkiewicza, Sandera, Ulma i Ziembickiego.

Komisji tej, polecił Wydział obmyśleć sposoby najenergiczniejszego ściągnięcia zaległości i zaprowadzenia daleko idących oszczędności w administracji Towarzystwa i „Łowca".

M. Chrzanowski i A. Ulm zdali sprawę z posiedzenia Komisji Pol. Zw. Stow. Łow. dla sprawy nowelizacji prawa łowieckiego, w której wzięli udział w dniu 9 października 1931 r. jako delegaci Towarzystwa. Sprawozdanie to, z którego wynikało, że zapatrywania na zasadnicze postulaty przyszłego prawa łowieckiego zostały ostatecznie zgodnie ustalone, przyjął Wydział M. T. Ł. z żywem zadowoleniem do wiadomości. —

Przykro natomiast odczuli członkowie Wydziału fakt, iż już po posiedzeniu wspomnianej Komisji, Ministerstwo Rolnictwa rozporządzeniem z dnia 20 października 1931 r., uregulowało termina ochronne dla najważniejszych gatunków zwierzyny łownej, na dwa lata, bardzo różnie od tej Komisji, jakkolwiek termina ochronne, uznane za najlepsze, uzgodniono po wyczerpujących dyskusjach, na dwóch długich posiedzeniach, głosami delegatów całej Polski, w obecności delegatów tegoż samego Ministerstwa Rolnictwa.

W przemówieniach stwierdzono, że znakomity stan zwierzyny w bieżącym sezonie nieuzasadniał wydania rozporządzenia rozszerzającego znacznie termina ochronne i że rozporządzenie to wydane nagle i niespodzianie, u progu, a właściwie w toku sezonu, krzywdzi materjalnie właścicieli rozległych łowisk i Towarzystwa myśliwskie, które nie będą mogły opolować swych terenów, co zwłaszcza dotknie wschodnią Małopolskę i Kresy wschodnie, gdzie na pierwszą połowę stycznia, po którą ograniczono polowanie na zające, przypadają liczne święta obu obrządków.

Przyjęto do wiadomości, że Wydział Oddziału Towarzystwa w Krakowie zamianował delegatem inż. Zygmunta Muszyńskiego w Gorlicach na ten powiat.

W poczet członków przyjęto: Aurelego Wittenberskiego w Gruszowie, powiat Dobromil i Tadeusza Rakowskiego w Kamionce strumiłowej.

Dodatkowo ogłasza się, że Wydział M. T. Ł. uchwalił na posiedzeniu z dnia 20 maja 1931 r., nadać dyplom honorowy za działalność na polu podniesienia kultury łowieckiej Starszemu Przodownikowi P. P. Kazimierzowi Czernuszce z Posterunku w Obroszynie, pow. Gródek Jagielloński, obecnie przeniesionemu do powiatu sokalskiego.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16